NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 86·45 Marek, Półrocznie 172·90 Mk. Rocznie 345·80 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 7 Marek.**

Rok XVII. Kraków, 7. sierpnia 1920. Nr. 32.

„HEJ, KTO POLAK, NA BAGNETY!!!"



Motywy z pochodu werbunkowego w dniu 18 lipca b. r. w Krakowie.

„Hej, kto Polak, na bagnety!"

(Do illustracyi tytułowej).

O przebiegu agitacyi na rzecz wstępowania do armii polskiej, donosiliśmy już kilkakrotnie, podając między innymi fragment z pochodu, jaki głównie staraniem inwalidów odbył się w Krakowie, w niedzielę dnia 18 lipca br.

Obecnie udało się nam zdobyć kilka zdjęć fotograficznych, które reprodukujemy, aby przekonać



Zmiany na naczelnych stanowiskach w Armii: Generał Tadeusz Rozwadowski, nowy szef sztabu generalnego.

Czytelnika, że i inicyatorom krakowskiej „werbunkowej ruchawki" nie brakło humoru.

Szczególniejszą uwagę zwracał na siebie manekin, w eleganckiem ubraniu sportowem, z rakietą tennisową w ręce i napisem z przodu: „Tchórz"; z tyłu: „Ja się boję!"...

Z nim obchodzono kawiarnie i restauracye, pełne młodzieży, wołęcej zbijać bruki poza frontem, niż niepotrzebnie narażać się na froncie, stawano przy stoliku i odzywano się:

— Kolega ma do pana interes!

Podobny cichy wyrzut nie mógł się naszym „bohaterom" podobać, zmykali też, ile sił starczyło, do domu, narzekając, że im popsuto niedzielę.

Bardzo wymowną była także grupa inwalidów w pochodzie, niosących tablicę z napisami: „Hej, kto Polak, na bagnety!"... „Jeśli wy nie pójdziecie, my pójdziemy!"... itd. A byli między nimi bez rąk i nóg, ofiary wojny światowej.

Tego rodzaju agitacya jest najskuteczniejsza, a dwie takie grupy, jak wyżej wspomniane, są wymowniejsze, niż całe stosy odezw i nawoływań, których się zwykle nie czyta i nie słucha. Coś podobnego zostaje na długo w pamięci, stanowiąc wyrzut sumienia, że się nie spełniło swego obywatelskiego obowiązku.

Zmiany na naczelnych stanowiskach w armii.

W ostatnich czasach zaszło na naczelnych stanowiskach w naszej dzielnej armii wiele zmian, podyktowanych koniecznością obrony zagrożonego przez najazd bolszewików państwa polskiego.

Do ich rzędu należy zastąpienie w kierownictwie sztabu generalnego generała Stanisława Hallera. Funkcye te powierzono generałowi Tadeuszowi Rozwadowskiemu, z którego nazwiskiem spotykaliśmy się już niejednokrotnie w czasie obecnej wojny. Jako kierownik i uczestnik wielu misyi politycznych i wojskowych za granicą, oddał jenerał Rozwadowski państwu polskiemu znamienite przysługi. Jest też doskonałym strategikiem, teoretycznie i praktycznie wykształconym, uchodząc zwłaszcza w dziale artyleryi za światową powagę.

Z sytuacyą na froncie ma natomiast luźny tylko związek usunięcie się generała Stanisława Szeptyckiego z dowództwa frontu północno-wschodniego. Przyczyną była czerwonka, której bohaterski generał nabawił się, pełniąc swą ciężką służbę.

Wieść o jego chorobie rozeszła się smutnem echem tak w szeregach armii, jak i w całej Polsce, oceniającej należycie jego oddanie się sprawie narodowej i szkody, jaką ona w tej ciężkiej chwili przez jego brak ponosi.

Choć ciężko chory, nie przestał na chwilę pełnić swych obowiązków, — co przyczyniło się do pogorszenia jego zdrowia, budzącego poważne obawy ze względu na komplikacye sercowe. Dzień i noc czuwali przy jego łóżku lekarze, w Warszawie odwiedzały go najwybitniejsze osobistości.

Nastąpiło polepszenie i gdy tylko stan chorego na to pozwolił, przewieziono go do Krakowa, gdzie w mieszkaniu książąt Sapiehów zostaje pod troskliwą opieką doktora Zapałowicza.

Lwów na rzecz ofiar dla frontu.

Niedzielę, dnia 25 lipca b. r. przeznaczono na pobudzenie ofiarności publicznej na rzecz polskiego żołnierza, walczącego na froncie. Komitet urządzający zabrał się do dzieła z całą energią, wynik był też wspaniały. Apelowano do poczucia obywatelskiego i kieszeni Lwowian tak dowcipnie, a przecież stanowczo, że trudno się było wymówić.

Lwów, który tyle razy przeszedł sam wszystkie okropności piekła wojennego, współczuje z dolą żołnierza polskiego i stara się jej ulżyć — nie ogranicza się na słowach, odrazu przystępuje do czynu.

Aby z przebiegu owej pamiątkowej niedzieli zdać dokładne sprawozdanie, trzeba było samemu być na miejscu i na wszystko patrzeć własnemi oczyma.

Z tej przyczyny przytaczamy słowa znanego



Zmiany na naczelnych stanowiskach w Armii: Generał Stanisław Szeptycki, komendant półn.-wschodniego frontu.

lwowskiego poety p. Jana Gelii, który w następujący sposób opisuje uliczne życie Lwowa w dniu 25. lipca b. r.

„Myliłby się, ktoby przypuszczał, że była to propaganda w zwykłem tego wyrazu znaczeniu: nudna i zakurzona, trącąca zdala bibułą i farbą drukarską. Tym razem było to całkiem coś innego. Bo oto w agitatorów zabawiali się wszyscy, począwszy od figlarnie z za chmur od czasu do czasu kokietującego słonka, które dawało w ten sposób do zrozumienia, że nie takie gorące, jak o niem mówią i że choć przygrzeje czasem żołnierza, zna jednak miarę i umie schować się w porę za obłoki, aż do milutkich, nie większych od swego karabinu skautów, przebranych w mundury, którzy z wielką powagą pełnili straż przed pomnikiem Mickiewicza, broń w kozły ustawiając.

Już od wczesnego rana budziły śpiochów miejskich odgłosy ochoczej muzyki poszczególnych oddziałów, przecinających miasto w różnych kierunkach. Dzięki inicyatywie stworzonego przez władze przy udziale artystów lwowskich: literatów, malarzy etc. Biura Propagandy, na mieście pojawiło się mnóstwo odezw, ulotnych wierszy, śpiewanek etc., z których afisz „Polko" i „Marsz Tchórzów" Nema, szczególniej boleśnie miały trafiać w ambicyę niemundurowanych młodzieńców z lwowskiego korsa. Nie dziw, że jaki taki znalazłszy się w tym chaosie i zostawszy przez jakąś piękną donnę, z którą od roku oczkował, udekorowany kartą z napisem: „Brusiłow chce się z panem widzieć" — zmykał co szybciej do domu, przysięgając, że nie wyściubi na ulicę nosa, póki nie będzie w mundurze.

Uwagę przechodnia zatrzymał wiersz Zbierzchowskiego p. t.: „Stój obywatelu!" w *Gazecie Wieczornej*:

Obywatelu stój!
Twoi druhowie w polu,
Biją się tak jak dyabli,
Krwawy prowadzą bój —
A tyś wciąż nie przy szabli,
Ale przy parasolu
Pfuj!

Jeśli się boisz waść,
To jesteś straszny kiep.
Ty w przeznaczenie wierz,
Wszak na ulicy też
Może ci cegła spaść,
Na pusty łeb.

Był to zaiste dzień arcyniemiły dla biednych cywilnych.



Lwów na rzecz ofiar dla frontu: Samochód z członkami komitetu i kabaretu lotnego z pochodu manifestacyjnego w dniu 25 lipca b. r.

Gdzieś okiem rzucił, widziałeś, jak zaopatrzone w aprobatę władzy, afisze namawiają twoją narzeczoną, aby z tobą zerwała, a twoją kochankę, aby się z tobą nie ukazała na ulicy, póki nie będziesz żołnierzem. Najpiękniejsze angielskie ubranie z „paskiem“, które kosztowało 10 000 mk., a z którego byłeś taki przed dwoma tygodniami dumny, paliło cię, jak źle zaprasowane spodnie i byłbyś je chętnie



Lwów na rzecz ofiar dla frontu: Muzyka w pochodzie manifestacyjnym.

zamienił na wytarty mundur frontowca. Cóż ci bowiem było z tej prima jaskółki, jeśli idąca z tobą niewiasta z budzącym zachwytem oklaskiwała jadących kawalerzystów z Nittmanem na czele lub zasypywała oklaskami jeszcze nieumundurowanego, ale już z kokardą armii ochotniczej Michałowskiego, występującego wprost przeciw tobie, nieszczęsny cywilu!

Bo trzeba wiedzieć, że kto chcąc uniknąć tych opresyi wszedł do lokalu restauracyjnego, ten jeszcze nie zdążył zjeść zupy, gdy ryk syreny automobilowej zawiadamiał go o nowej katastrofie.

Na salę wpadali wtedy pp. Zbierzchowscy, Michałowski, Tatrzańscy z przewybornym lotnym kabaretem i oczywiście — koszykiem na datki na cel wojenny.

A nad miastem krążyły latawce, z których nasi dzielni piloci rzucali setki egzemplarzy odezw i satyrycznych filipik przeciw opieszałym synom Ojczyzny.

Największy może popłoch szerzył „Tchórz“, jednodniówka, której tytuł sam już budził u wielu podejrzenie: „czy to nie o mnie?“ Wobec czego każdy szybko kupował, aby schowawszy bodaj jeden numer, umniejszyć rozpowszechnianie się tego niegodziwie w nasz sybarytyzm godzącego wydawnictwa.

Pod pomnikiem Mickiewicza wygłosił znany artysta naszej sceny p. Kozłowski programowe przemówienie, wzywające pod broń, co mu przyszło tem łatwiej, że sam już był w mundurze i ostrzyżoną po żołniersku głową.

Pierwszy ten wpływ propagandy na rzecz frontu powiódł się bezwzględnie. Tylko tak dalej, a wszyscy lwowscy krawcy męscy zrobią plaitę, ale za to nie zrobi jej ktoś inny — Ojczyzna“.

Zgon zasłużonego pedagoga.

W ubiegłym tygodniu nadeszła do Krakowa smutna wieść, która żałobnem echem odbiła się w najszerszych kołach naszego społeczeństwa.

W dniu 24 lipca br. zmarł w Ujanowicach po krótkich a ciężkich cierpieniach w 53 roku życia znany i ceniony pedagog, dyrektor krakowskiego gimnazyum im. Sobieskiego Wiktor Schmidt.

Zmarł w sile wieku, pozostawiając po sobie żal niekłamany tak w sercach swoich współpracowników, jak i młodzieży, której siły swe wszystkie poświęcił, widząc w niej całą nadzieję i przyszłość odradzającej się Ojczyzny. Był to prawdziwy pedagog, którego dewizą było: uczyć i wychować młodzież na dzielnych obywateli. Odnosił się do niej z sercem, a ona to uznawała i wzajem sercem Mu płaciła. Wieść o Jego śmierci okryła też żałobą liczne szeregi uczniów Jego obecnych i dawnych, którzy, choć ławę szkolną już opuścili, wdzięcznej

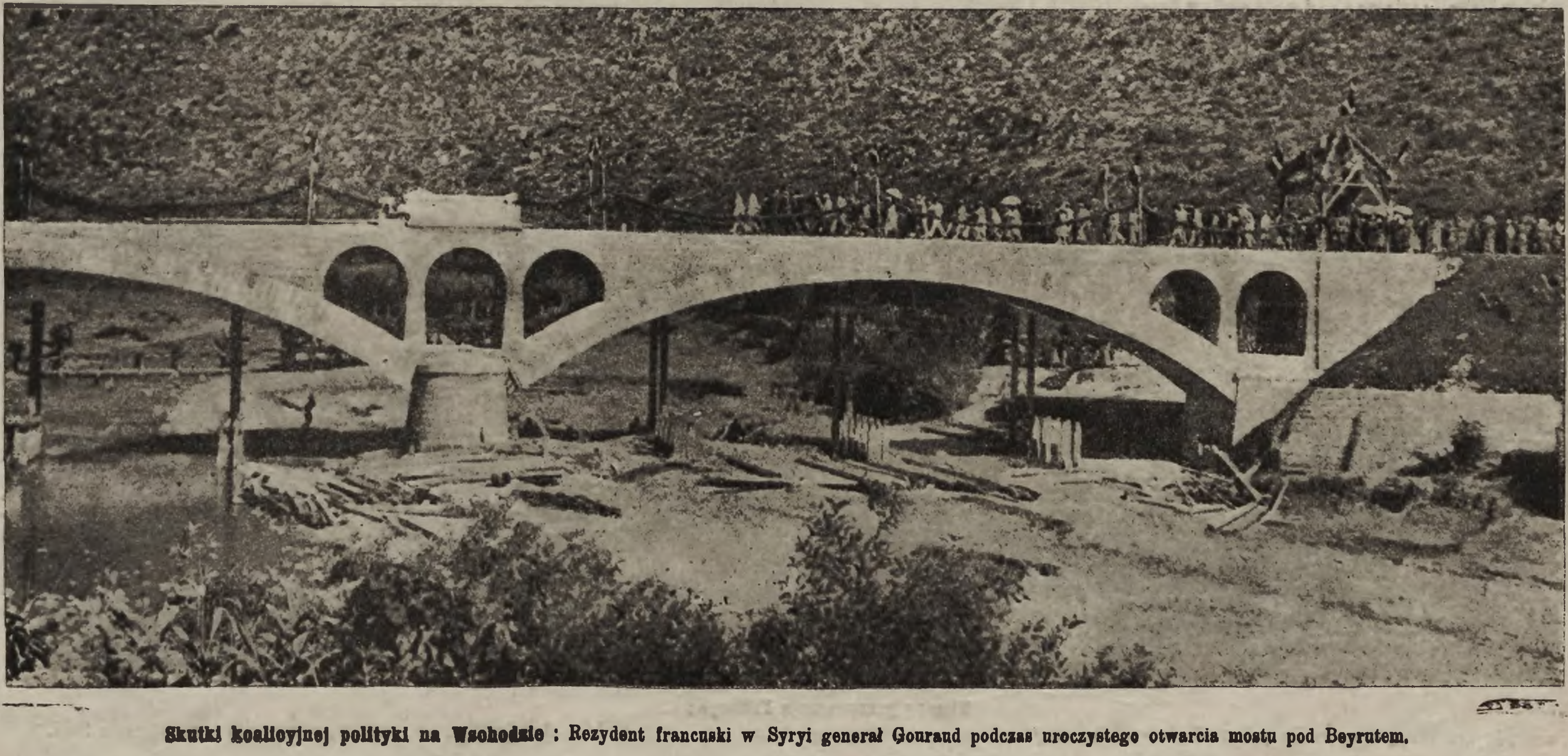


Zgon zasłużonego pedagoga: S. p. Wiktor Schmidt, dyr. gimnazyum im. Sobieskiego w Krakowie.

pamięci zachowali starania i zabiegi swego kierownika.

Obowiązki nauczycielskie pełnił ś. p. Wiktor Schmidt kolejno we Lwowie, Bochni i Krakowie, biorąc żywy udział w pracy społecznej. Gdzie chodziło o dobro Ojczyzny, nie było trudności, których nie przełamałaby Jego żelazna wola i energia ducha. Był wzorem obywatela i takim chciał widzieć każdego z swych uczniów.

Ze względu na swe pedagogiczne uzdolnienie i prawdziwie obywatelskie pojmowanie obowiązków, uważano go też za najodpowiedniejszego na trudne stanowisko dyrektora polskiego gimnazyum w Cieszynie. Nie wzdragał się, choć wiedział, jakiego się podejmuje zadania, praca w tych ciężkich warunkach miała dlań urok, a spełniał ją w ten sposób, że zyskał wdzięczność społeczeństwa, nawet wrogów, którym rozwój ducha polskiego na Śląsku był solą w oku, zwalczali też wszelakimi sposobami tę zachodnią kresową placówkę kultury polskiej. Nie



Skutki koalicyjnej polityki na Wschodzie: Rezydent francuski w Syryi generał Gourand podczas uroczystego otwarcia mostu pod Beyrutem.

zrażając się przeciwnościami, energicznie, sumiennie i nad wyraz owocnie kierował cieszyńskiem gimnazyum od r. 1906, aż do chwili powołania Go przed kilku laty na stanowisko dyrektora gimnazyum im. Sobieskiego w Krakowie, opróżnione przez śmierć ś. p. Sołtysika.

I tu pracował dalej bez wytchnienia, ale ta praca podkopała Jego wątłe siły. Nieubłagana śmierć zabrała Go w sile wieku, gdy mógł jeszcze i tak serdecznie pragnął pracować w umiłowanym zawodzie. Odszedł, pozostawiając wzór, godny naśladowania dla młodzieży, jakim powinien być obywatel. Był to charakter nieskazitelny, patryota gorący, pedagog wytrawny, stratę Jego boleśnie też odczuło społeczeństwo polskie, zwłaszcza zaś młodzież, tracąca w Zmarłym prawdziwego ojca, opiekuna i dobrodzieja.

Pogrzeb śp. dyrektora Schmidta odbył się w dniu 25 lipca w Ujanowicach. Na wiadomość o śmierci swego kierownika, zebrali się profesorowie gimnazyum Sobieskiego na żałobne przemówienie, w którem, krajowy wizytator szkół St. Rzepiński poświęcił gorące wspomnienia Zmarłemu. Na razie ograniczono się do nabożeństwa żałobnego, które odprawionem zostało w kościele Karmelitów, uroczyste zaś uczczenie pamięci i zasług tego prawdziwego przyjaciela młodzieży odbędzie się po rozpoczęciu roku szkolnego. Cześć Jego pamięci!



Połączenie Szlezwigu z Danią: Król duński Chrystyan X przy zwiedzaniu miasta Krystyansfeld uwolnionego przez plebiscyt od jarzma niemieckiego.

Połączenie Szlezwigu z Danią.

Rzesza niemiecka, zostająca pod patronatem Prus, powstała z biegiem czasu z rozboju i kradzieży, jakich stale dopuszczano się na sąsiadach, wcielając w jej skład kraje, rzekomo rdzennie niemieckie lub niezbędne dla Niemiec ze względów strategicznych i gospodarczych. Ten los spotkał Alzacyę i Lotaryngię, Śląsk Górny, Pomorze i Poznańskie, Szlezwig itd.

Gdy się przecież odwróciła karta dziejów i przyszło do porachunków powojennych, trzeba było oddać to, co się nieprawnie zagarnęło. Choć Koalicya postąpiła sobie względem Niemiec stosunkowo bardzo łaskawie, uznają to one za swą krzywdę i bronią się przeciw wyrokowi Rady Najwyższej wszelkimi sposobami.

Traktat wersalski przyznał Danii Szlezwig, ze względu przecież na mieszaną ludność w niektórych okręgach, podzielił kraj na trzy strefy. Jedną z nich, na podstawie odbytego plebiscytu, przyłączono do Danii bez zastrzeżeń, w dwu innych uzależniono to od różnych warunków.

Aby temu zapobiedz rozpoczęli Niemcy agitacyę nie tylko na obszarze Szlezwigu, ale też i w Danii, gdzie udało się im pozyskać tamtejsze sfery socyalistyczne, co zdawało się grozić spokojnemu państwu rewolucyjnym przewrotem. Patryotyzm socyalistów duńskich zwyciężył przecież, wczas poznali się na niemieckich farbowanych lisach i niebezpieczeństwo zażegnano. Niemcy, acz z bólem serca, pożegnać się musieli z Szlezwigiem.

Król duński, Chrystyan X, obejmując w posiadanie dawne duńskie obszary, mógł osobiście stwierdzić, że ludność, mająca już dość niemieckich rządów, zmianę tę przyjęła z radością i że uważa się za Duńczyków, a nie za Niemców.

Szynkarze chrzanowscy na pożyczkę państwową.

Dnia 20. b. m. odbyło się walne zgromadzenie wszystkich członków Stowarzyszenia gospodnio-szynkarskiego okręgu chrzanowskiego w radzie powiatowej w Chrzanowie. Po dłuższej dyskusyi zebrani uchwalili jednogłośnie na wniosek przewodniczącego p. Jana Węgla, że kto nie podpisze pożyczki odrodzenia w kwocie, oznaczonej przez Komisyę szacunkową w tym celu wybraną, ten wykluczony zostanie ze stowarzyszenia, a co zatem idzie od wszelkich przydziałów spirytusu i t. d., nie będzie brany w rachubę co do świeżo udzielić się mających w myśl nowej ustawy od 1. stycznia 1921. koncesyi szynkarskiej. Obywatelski ten czyn Stowarzyszenia gospodnio-szynkarskiego w Chrzanowie, a w szczególności przewodniczącego tegoż p. Jana Węgla, winien znaleść licznych naśladowców.



Niemcy przepraszają Francyę: Uroczyste zawieszenie flagi na budynku ambasady franc. w Berlinie w d. 16 lipca b. r.





Niemcy przepraszają Francyę:

Policya, zamykająca dostęp na plac Paryski w Berlinie podczas uroczystego wywieszenia flagi francuskiej.

Oddział „Reichswehru“ asystujący podczas urocz. wywieszenia flagi.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁÓMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

3 I.

— A co powie na to portyer, kiedy ujrzy mnie powracającego po północy z tak piękną i elegancką kobietą? — odparł Robert, chcąc jej zamiar w żart obrócić.

— Pawdopodobnie zostanie oczarowany. Ale nie, słuchaj Roberc e! Pójdziemy do hotelu, weźmiesz pudło i potem pójdziesz do mnie — uśmiechnęła się kokieteryjnie.

— A Trorenzo Scotti?

— Podróżuje... a gdyby nawet tu był, potrafiłabym się uwolnić od niego.

— Nie kocha się już?

— Uwielbia mnie, ale umiem trzymać go zdaleka od siebie.

— Helena Love wydała się nagle Robertowi bardzo pospolita i banalna. Brzydził się kobietami, które starają się upadlać mężczyzn.

— Nie mówimy więcej o tem pudle — rzekł po chwili zimnym, grzecznym tonem. Zaniosę je jutro do komisaryatu i cała sprawa załatwiona zostanie.

— Ah! tak! otworzysz je — odparła złośliwie Helena rozczarowana zachowaniem się młodego człowieka.

— Nie!

— Założmy się.

— Założmy.

— A więc dyskrecya?

— Tak, wolę to.

— Jeżeli przegrasz, powiem ci, czego żądam od ciebie — szepnęła, patrząc Robertowi czule w oczy.

— Jak sobie życzysz — ale nie wygrasz, uprzedzam cię.

Przedstawienie dobiegało do końca. Helena Love uprosiła Roberta, aby ją chociaż odwiózł do domu.

W powozie znowu powróciła do poprzedniej rozmowy.

— Ono jest czarne — co? — zapytała z błyskiem szalonej ciekawości o oczach.

— Czarne — skórzane.

— Może to pudło na rękawiczki?

— Jest na to za duże.

— Wiesz, że takie pudła mają kształt specyalny.

— Neceser tualetowy?

— Tak... może — ale to niemożliwe — jest to za ciężkie, to nie neceser, jestem tego pewny.

— Wiesz na pewno do kogo należy?

— Prawie.

— To mężczyzna?

— Mężczyzna — duch prawie.

— Oh! co ty mówisz? — wzdrygnęła się nerwowo.

— Zjawił się jak cień i znikł jak widmo — odparł Robert głosem człowieka, opowiadającego straszne jakieś historye.

— Mój Boże!

— Lękasz się duchów? — zapytał, ujmując jej rękę.

— Nie wierzę w nie — a jednak się lękam — szepnęła jak nagle wystraszone dziecko.

— Ja zaś nie lękam i wierzę w nie — wyrzekł Robert spokojnie.

— Co?

— Wierzę w nie — powtórzył — tak jest Heleno — Niestety wierzę w nie.

— Słuchaj, ja przez ciebie umrę tej nocy z przerażenia — wymówiła drżącym głosem. — Dlaczego w nie wierzysz?

— Nie wiem — odpowiedział z miną tajemniczą, napół żartem.

— Widziałeś je?

— Widziałem.

— Kiedy? Jak?

— Dzisiaj. Czy ten człowiek nie był duchem? Czy ci, których widzimy w snach, nie są duchami? Czy te osoby, które nagle zjawiają się nam na ulicy, w salonie i znikają niepostrzeżenie, nie są duchami? A te twarze, które wyrastają niespodziewanie przed oczami naszej imaginacyi?

— Tak... tak... ale one nie żyją.

— Co ty możesz wiedzieć o tem?

— Robercie, zlituj się... nie mogę myśleć o tych okropnych rzeczach — krzyknęła młoda kobieta, przyciskając się do niego.

— No, no, odwagi, Heleno! Te wszystkie widma nie są znów takie niebezpieczne — zaśmiał się serdecznie Robert. Nikt nie umarł jeszcze przez nie.

— Możliwe... Ale wiesz, jabym nie mogła spać z tem pudłem sama w nocy...

— Jakto? Chciałaś je przecież jeszcze przed chwilą otworzyć?

— Przed chwilą... tak... ale teraz... kiedy wiem o tym widmowym podróżnym.

— Zaręczam ci, że to jest widmo Heleno...

— Nie śmiej się... to pudło w twoim pokoju...

— Powinienem poprosić jaką litościwą duszę o gościnność — szepnął, patrząc na młodą kobietę pytającą. Odwróciła głowę, nie dając odpowiedzi.



Alimena rozpoznał natychmiast sylwetkę nieznajomego.

Tymczasem powóz podjeżdżał już pod kamienicę, w której mieszkała.

Robert wyskoczył i podał ramię swojej towarzysce.

— Nie wstąpisz na filiżankę herbaty — zapytała machinalnie, wyczuwając, że nie przyjmie zaproszenia.

— Jeżeli pozwolisz przyjdę jutro.

— Dobrze. Między czwartą a szóstą godziną zastaniesz mnie zawsze.

— Dobranoc, Heleno.

— Pamiętaj Robercie... musisz mi wyjaśnić tajemnicę czarnego pudła...

— Jeżeli ją odkryję.

— Oh! odkryjesz ją, odkryjesz...

Helena zniknęła w bramie domu, a Robert zamyślony, skierował się powoli ku miastu.

Plac hiszpański był zupełnie pusty o tej porze.

Wchodząc do bramy hotelu, którą otwierał mu portyer, trzymając latarnię, Robert odwrócił się instynktownie. Od ulicy Condotti kierując się ku Propagandzie człowiek jakiś bardzo niskiego wzrostu, otulony w płaszcz szeroki biegł wzdłuż muru. Alimena rozpoznał natychmiast sylwetkę nieznajomego, towarzysza podróży, właściciela tajemniczego czarnego pudła.

Chciał bezzwłocznie skoczyć za nim, ale portyer stał w drzwiach, czekając, zresztą Robert był tak zdenerwowany tego wieczoru, że nie był całkiem pewny, czy wzrok go nie myli.

Udał się więc do swojego mieszkania i czując, że nie zaśnie tej nocy, postanowił sporządzić sobie parę szklanek grogu. W kilka minut później portyer przyniósł mu imbryk z gorącą wodą i oddalił się, życząc mu dobrej nocy.

Ciepło było w saloniku i sypialnym pokoju, bo ogień na kominku tlał przez dzień cały. Robert odkręcił wszystkie lampki elekryczne, usiadł przed kominkiem i zabrał się do przyrządzania grogu. Lecz pomimo wszystko, pomimo zajęcia, którem chciał się oszołomić, wszędzie gdzie spojrzał widział cień garbusa o zimnych, zielonych oczach.

Była już godzina druga. Robert chciał się już rozebrać i spać położyć. Ale nagle nasunęła mu się myśl podsunięta przez Helenę. Czarne pudło musiało być zwyczajnym neserem podróżnym. Ażeby się o tem ostatecznie przekonać jeszcze raz chciał je obejrzeć. Wziął pudło z sypialnego pokoju i zaniósł do saloniku jasno oświetlonego. Ale w miarę jak oglądał pudełko niejasne uczucie niepokoju ogarniać go zaczęło, a przytem miał wrażenie, że popełnia jakąś niedyskrecyę i to w miejscu publicznem pod oczami wielu ludzi.

Machinalnie podszedł do okna, chcąc zapuścić rolety i spojrzał w ulice. Czy go znowu wzrok mylił?... Tam, z pod obeliska, cień jakiś się oderwał i mknął szybko pod murami kamienic! Tak? To garbus. Garbus o zielonych oczach!

Ale nie! to niemożliwe! To znowu halucynacya jakaś. To pewnie stróż nocny, czuwający zawsze na tym placu. Robert uśmiechnął się lekko i przysłonił okno. Powrócił do pudła.

Neseser podróżny? W każdym razie dosyć dziwnych kształtów, za długi i za lekki. Bez rączki do trzymania, bez rzemyka. Przyłożył ucho. Żadnego szmeru. Nie! Nie! to nie neseser! Długie, czarne, lekkie pudło o srebrnym zamku, w kształcie wąskiego języczka. Nie mógł dociec w jaki sposób zamek mógł być przyczepiony do skóry i jak się otwierał. Odwróciwszy pudło Almine spostrzegł, że zawiasy również były ze srebra. I nagle, podczas kiedy obserwował to wszystko, zrodziło się w nim gwałtowne, nieprzeparte pragnienie otwarcia pudła. Żywa fala krwi gorącej buchnęła mu do skroni.

Ale jak otworzyć? Trzeba było siłą zmódz zamek. Nie myśląc już o niczem, pod władzą jakiejś niepokonanej siły, zaczął szukać czegoś wokoło siebie i w końcu znalazł nóż z kości słoniowej. Ale wysiłki jego były próżne. Nóż ześlizgiwał się tylko po blaszce, rysując je miejscami. W pewnej nawet chwili koniec jego się ułamał.

Ten opór zamku zniecierpliwił Roberta. Poszukał jeszcze innych narzędzi i znalazł etui, w którem znajdowały się nożyczki, szczypce i scyzoryk. Ale używał ich napróżno. Zamek upierał się dalej. Wtedy zniechęcony porzucił pudło i zaczął chodzić po pokoju, namyślając się co robić? czyby nie rozbić pudła o marmur kominka. A jeżeli tam było coś kruchego, łatwo podlegającego zniszczeniu?

Podniósł ręce do rozpalonego czoła, chcąc je ochłodzić. Coś dziwnego działo się z nim. On już „musiał" to pudełko otworzyć. Nic go od tego postanowienia odwrócić nie mogło! Teraz już z uwagą i z zimną krwią myślał nad sposobem dojścia do celu. Jeżeli zamek był do nienaruszenia, otworzy pudło z tylnej strony od zawiasów. Należało tylko wykręcić śrubki, trzymające się bardzo mocno?

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staroszewskiej.

TOM I.

12

„Co uczynić?

Musi coś wymyśleć. I musi powstrzymać swój entuzyazm, a natomiast być spokojnym, rozsądnym, nawet rachunkowym. Myślał o dziewczynie, którą kochał dawniej, a która umarła. Od jej śmierci odłożył na bok miłość, jako uczucie. Od czasu do czasu – nie często – jakieś widmo prawdziwej miłości go odwiedzało. Trudno młodemu, silnemu mężczyźnie w okresie życia, nie mieć nic do czynienia z miłością, ani z jej widmem. Ale Iseacson miał słuszność. Życie Nigla było o wiele czystsze niż życie większości mężczyzn. Z powodu wielkiego szacunku dla miłości nieraz walczył przeciw sobie, przeciw naturalnym skłonnościom. Nie zawsze zwyciężał. Ale walka wzmacniała jego wolę i każdy upadek ukazywał mu jaśniej smutek, wstręt, wyryte na błędnem obliczu widma prawdziwej miłości.

Jeżeli to, co o niej mówiono, było prawdą, Mrs. Chepstow, przez całe lata na to widmo patrzała, z niem żyła.

I Nigel nie oszukiwał siebie, pod tym względem, nie przemieniał kurtyzany w anioła, jak to nieraz młodzi chłopcy czynią. Z pewnością życie Mrs. Chepstow było złe, wzbudzające tak samo wstręt, jak i politowanie. A jednak, była w niej prostota, delikatność, dumna nawet powściągliwość. Miała zamiłowanie piękna, pragnienie rzeczy eterycznych. Pomyślał o swej pierwszej u niej wizycie, otwarte pianino: „Proficisere anima christiana“ „dearlett Leters“, z jej cytatą. O czem ona myślała, grając nadziemską muzykę Elgara, czytając Hawthorne'a książkę pełną litości? Bezwątpienia sztuka dla niej, jak i dla wielu osób, była ucieczką w życiu. Nie szukała zapomnienia w dowcipach salonowych, ani w tajemnicach odsłonionych w alkowach, ale wznosiła się z aniołami do nadpowietrznych przestrzeni, uciekała w lasy z Hesterem i małym Pearl.

Dlaczego nie mogli być dalej przyjaciółmi!

Wzburzona krew jego dała odpowiedź. Winę przypisywał sobie samemu; potępiał siebie, w tej chwili, zły był na siebie i przeklinał, nie dlatego, że był słabym, ale zdrowy rozsądek mówił mu, że jego złe skłonności zostały zbudzone, bo znał przeszłość Mrs. Chepstow, a to było bestyalstwem, czemś co powinno być zdeptane. Nie chciał być człowiekiem tego pokroju, a jednak był nim dostatecznie, żeby uczynić jego przyjaźń z Mrs. Chepstow trudną, a nawet niemożliwą. Gdyby to uczucie zostało wywołane miłością, uważałby je za zupełnie naturalne, zdrowe, ale on Mrs. Chepstow nie kochał. Nie mógł już nigdy kochać prawdziwie, przez całe lata to sobie powtarzał i wierzył. Powtórzył i teraz. A nawet, gdyby mógł wzbudzić w sobie miłość, nie mógłby kochać kobiety, która czystą nie była. Był tego pewny i myślał o swej zmarłej narzeczonej i o Mrs. Chepstow. Lecz dzisiaj nie mógł sobie dokładnie przedstawić twarzy i wejrzenia umarłej. Mrs. Chepstow stała przed oczami jego wyobraźni jak żywa. Widział się z nią przed kilku godzinami, a dziewczę, które kochał dawno umarło. Żyła, w jego pamięci, jako symbol niewinności i piękności raczej, niż jako ludzka istota.

Mr. Chepstow nie znajdzie teraz żadnego mężczyzny, któryby ją rzeczywiście kochał. A jednak dlaczego nie? Tu Nigel uczynił sobie zarzut, jak zwykle czynił, kiedy spostrzegał, że idzie za zdaniem ogółu. Dlaczego nie?

Ramię przyłożone do koła, było bliskiem ramienia przyłożonego do miłości idei, kobiety, miłości pracy, ludzkości, miłości Boga.

Wszyscy jego znajomi, a przynajmniej prawie wszyscy, śmieliby się na myśl o prawdziwej miłości dla Mrs. Chepstow, ale to nie powinno mieć znaczenia dla męskiego serca, dla męskiego ducha.

Gniewał się prawie na jej osamotnienie, nieruchomość, które raniły jego rycerskość i wywoływały współczucie. Gdyby mógł myśleć o niej, wybierającej się do Szwajcaryi, do Włoch, wszystko byłoby dobrze. Ale widział ją zawsze siedzącą w pokoju, samą, opuszczoną, przy fortepianie lub nad książką i bez widoku żadnej zmiany, ani towarzystwa. Mrs. Chepstow wycisnęła obraz samotny na wyobraźni Nigla, odegrała swą rolę znakomicie.

Armine chodził ciągle, boso po pokoju, cygaro już zgasło, choć je trzymał w ustach. Godzina była bardzo późna.

Na dalekim zegarze wybiła druga. Inne zegary ją powtórzyły, a gdy dźwięki umilkły, w Niglu obudziło się uczucie młodego człowieka.

Jeżeli nie może być przyjacielem Mrs. Chepstow, czy nie mógłby być dla niej – kimś innym?

Podniósł rękę do ust, wyjął cygaro, i gwałtownym ruchem wyrzucił je za okno. Ten gwałt fizyczny był echem wewnętrznego. – Onaby na to pozwoliła, jeżeli połowa tego co o niej mówiono było prawdą, często wchodziła w podobny stosunek z innymi mężczyznami – może dwoma, lub trzema – pomnożonemi przez skandaliczną plotkę. Czy się zgodzi na taki stosunek z nim, jeśli jej zaproponuje? I czy jej zaproponuje?

Rzucił się znowu w fotel, i patrzał na swoje bose stopy, silnie oparte o posadzkę. Lecz ich nie widział, widział tylko brzydkie widmo miłości, to szpetne, przeklęte widmo. Ona żyła z tem widmem aż stała się blada jak ono. W obrazie „Postęp“, który tak lubił, był żar, była gloria jasności, rozciągającej się w przestrzeni. Przyłożeniem ramienia do koła byłoby wlanie żaru w blade policzki kobiety, nie żaru wstydu, lecz wesela.

Nagle widmo znikło, i Nigel zobaczył swoje brunatne stopy. Odrazu przywiodły mu na pamięć słońce, pracę, to dobre, rzeczywiste, jasne życie.

Nie, nie dla niego te wstrętne rzeczy, myśl o nich odepchnął stanowczo. Odetchnął głęboko i wyciągnął ramiona tak, że szerokie rękawy opadłszy, obnażyły silne, opalone członki. I jak na bose nogi, spojrzał teraz na ramiona, ruszał niemi, ciesząc się poczuciem zdrowia. Lecz zdrowie umysłu i serca były konieczne dla kompletnego zdrowia ciała. Uczuł się silnym za siebie i za tę kobietę, która do niego należy, która mu ufa i która – tak bywa u kochających kobiet – wszystkich mężczyzn dla niego się wyrzekła.

Czy rzeczywiście był skazany na wieczną samotność, dlatego, że umarło dziewczę, które kochał przed dawnemi laty? Bo jego życie było samotnością jak każde życie, nie opromienione miłością, jakkolwiek byłoby ono pracowitem i użytecznem. Zastanowił się nad tem, i przyszła mu myśl naturalna i samolubna. Jak to musi być dobrze, jak miło, być wyłącznie kochanym przez kobietę, i jak kobieta, opuszczona przez świat i ludzi, musi kochać mężczyznę, który przychodzi jak rycerz przez góry i lasy, i zabiera ją, łączy z swem życiem, i daje jej napowrót szacunek dla samej siebie i ponad wszystko, daje jej uczucie najdroższe ze wszystkich, dla kobiety „ktoś mnie potrzebuje“. Jego wspaniałość, która, instynktownie zwracała się do opuszczonych, szła dziś ręka w rękę z wiecznem, niezniszczalnem samolubstwem mężczyzny, kiedy myślał o Mrs. Chepstow, jako poślubionej człowiekowi, niedbającemu o opinię świata, lub dbającemu o tyle, żeby ją zwalczać.

Jakby ona takiego mężczyznę kochała?

I zaczął się zastanawiać nad tą władzą jej natury, przeznaczoną do miłości. Była z nim bardzo prosta, i wydała się nadzwyczaj szczera. Ale myślał teraz, że w tej prostocie była powściągliwość dziwna w takiej kobiecie. Może ta powściągliwość była odpowiedzią na szacunek, który jej okazał; z powodu jej położenia, był dla niej z większem uszanowaniem aniżeli dla innych kobiet, będąc w tem wierny swojemu charakterowi.

Czem ona będzie przy niepowściągliwości wielkiego uczucia?

Ogień został w Niglu rozpalony i płonął gwałtownie. Odczuwał, zupełnie świadomie, wielki czar tej kobiety, od początku był mniej lub więcej pod jej urokiem. Iseacson to spostrzegł, kiedy widział jak Nigiel przysuwał swe krzesło do Mr. Chepstow w czasie kolacyi w Savoy. Ale ulegając mu nigdy nie powiedział sobie „jestem pod jej urokiem“, nie przypuszczał nawet, żeby tak było. Nagłe uświadomienie podniosło go niesłychanie. Po tylu latach przerwy, czy znowu uczuje płomień miłości dla kobiety tak różnej od tej, którą dawniej kochał? Ona stała w swej niewinności i młodości na jednym końcu łańcucha lat, a Mrs. Chepstow – czy rzeczywiście stoi na drugim?

Wyobrażał sobie, że je widział obie patrzące na siebie po przez przeciąg czasu i na chwilę twarz jego się ściągnęła. Ale on się zmienił przez te lata. Wtedy był młodym chłopcem pełnym zapału, teraz jest mężczyzną w sile wieku. I w tym przeciągu czasu, który odgradzał chłopca od skończonego człowieka przyszła na niego wielka miłość ludzkości, namiętność rozwijania dobra, które leży wszędzie, jak złoto w kopalniach głębi ziemi. Może ta miłość została mu daną dla połączenia tych dwu miłości, miłości altruistycznej i miłości dla kobiety, która odpłaca wzajemnością.

Wyraz twarzy obu kobiet patrzących na siebie stanowczo złagodniał. Takie dwie twarze złączone miłością, uwieńczą jego życie chwałą. Nigel myślał o tem z entuzyazmem, który mu był wrodzonym i który wyróżniał go od innych ludzi. Żyjąc w takiej chwale, jakże kompletnie mógł lekceważyć opinię świata! Śmiech jego będzie muzyką, a szydercze słowa wywołają uśmiech.

Ale, musi się namyśleć, musi się namyśleć.

Zerwał się z fotelu, i wychylił się w noc trzymając głowę w obu rękach.

VIII.

Mrs Chepstow powiedziała Niglowi: „proszę przyprowadzić Iseacsona, jeżeli przyjść zechce“. Do tej pory doktór nie był u niej, pomimo, że Nigiel mu powtórzył jej słowa i to nie raz. Umyślnie unikał tej wizyty, lecz tego nie okazywał. W ciągu dnia nie miał wolnej godziny do rozporządzenia i Nigiel o tem wiedział, mógłby pójść w niedzielę, ale tak się zawsze składało, że w niedzielę wyjeżdżał z miasta.

Powtedział sobie: *Cui bono?*

Wrażliwa jego natura nie lubiła wtrącania się w cudze sprawy, ale, przedewszystkiem czuł instyktownie, że gdyby spróbował grać rolę prawdziwego przyjaciela, straciłby Nigla, jako przyjaciela. Jego jasny pogląd byłby w antagonię ze ślepym entuzyazmem Armine'a, a spokojna znajomość świata, wydawałaby się okrucieństwem wobec wspaniałomyślności Nigla i jego gorącego współczucia.

A przytem Iseacson, czuł osobistą odrazę do Mr. Chepstow, odrazę prawie fizyczną. Żydowska strona jego natury rozumiała aż nadto dobrze chciwość jej charakteru. Miał niechęć do swej żydowszczyzny, chociaż się do niej tajemnie przyznawał. Rzadko kiedy i to subtelnie, ujawniał tę niechęć przed ludźmi, a nigdy nie okazywał dziwnego i szpetnego antisemityzmu, jak to wiele osób z krwi żydowskiej czyni. Lecz to poczucie było w nim ciągle żywe, ciągle w sprzeczności z estetyczną stroną jego natury, dla której przynależność do jakiejś rasy, wydawała się czemś niedorzecznem i małem wobec całego człowieczeństwa. Tryumf sztuki, podniósł w nim jeszcze to uczucie, a w zamiłowaniu do niej, wierzył, że dosięgnął szczytu. Jak moralna oryginalność Iseacsona, postawiła go *en rapport* z Niglem, tak jego żydostwo postawiło go w inny zupełnie sposób *en rapport* z Mr. Chepstow. Jest łączność w odrazie, tak dobrze jak i w życzliwości. Iseacson wiedział, że może być złączony z Mr. Chepstow swoją antypatyą do niej. Instynkt ostrzegał go, żeby jej unikać. Następne wypadki kazały mu się zapytywać, czy człowiek głosem swej bojaźni nie wywołuje przyszłości.

Sezon prędko przechodził i miał się już ku końcowi, kiedy pewnego wieczoru bardzo późno Nigiel przyszedł na Clevslad-Square.

Iseacson tylko co był powrócił z obiadu w mieście, jak dzwonek się odezwał. Bał się, czy go nie wzywają do chorego i odetchnął z zadowoleniem, na widok zaspanego lokaja, który mu oznajmił przybycie Nigla, zapytującego, czy Iseacson zechce go przyjąć o tej porze. Spotkali się w saloniku, w którym doktór siedział wieczorem. Był to pokój niewielki, założony książkami, ładny, może trochę zanadto zastawiony. Kiedy Nigiel wszedł z lekkiem pukaniem, w ręku trzymając kapelusz, zegar na kominku wybił pierwszą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

5

I.

— Przez Franka — co? — zapytała po chwili wlepiając z uwagą oczy w Sztaszkę. — Pani Gawlikowa nie życzy sobie mieć go za zięcia — prawda? I ty się na to zgodziłaś — dodała z lekkim wyrzutem w głosie. — Myślałam, że okażesz więcej woli w tym razie. Widocznie i tobie samej nie wiele zależy na Franku!

— Nie mów tak! nie mów! — zwróciła się do niej Staszka. — Jak możesz tak źle o mnie myśleć! Od wczoraj chodzę jak błędna! No, powiedz, co ja mogę na to poradzić! Co?

— Powinnaś była wytłómaczyć matce, że twojem głębokiem pragnieniem jest zostać żoną Franka, że....

— Nie znasz mojej matki — przerwała z żalem Staszka. — Ona nie znosi żadnej opozycyi, wszyscy jej ulegać muszą. Ja nie umiem tak jak Kazia postawić się wobec niej, wolę milczeć. Teraz u nas w domu ciągle bieda, matka rozdrażniona, że za mnie opłacać jeszcze muszą. Oh! westchnęła z rozpaczą, żebym już chociaż ten patent w ręce miała! Nie musieliby łożyć więcej na mnie i może wtedy miałabym więcej odwagi, ostrzej wystąpić.

— Ale właściwie czego twoja matka chce od Franka? Czego? — buntowała się Felka, gorąco przywiązana do brata. — Bogaczem nie jest, ale zarabia już dosyć, a za rok może mieć będzie dobrą posadę.

— Mama chce nas obydwie bogato wydać za mąż — mówiła cicho Staszka, jakby się wstydziła własnych słów. — Niech Kazia robi co chce, jeżeli to także jest po jej myśli, ale ja... ja... ja nigdy za mąż nie pójdę jeżeli mi za Franka wyjść nie pozwolą.

Felka jednym skokiem uwiesiła się u szyi przyjaciółki.

— Jak tak mówisz, to cię lubię! — zawołała pocieszona już trochę. — Przymusić cię nikt nie może. Niech sobie pani Gawlikowa szuka bogatego zięcia dla swojej Kazi, a ciebie niech zostawi w spokoju. Staszka! słuchaj! — dodała tajemniczo. — Chciałabyś teraz zobaczyć Franka? Co? powiedz?

Staszka zaczerwieniła się gwałtownie i błysk wielkiej radości przemknął przez jej załzawione jeszcze oczy.

— Oh! Felka! nie kuś mnie! Nie kuś! — wymówiła z trudem. — Przecież ci mówiłam, że mama zabroniła mi chodzić do ciebie. Jak się dowie, że poszłam, świeże będą awantury. Już wolę jej nie drażnić teraz.... może później sama złagodnieje.... pozwoli....

— To też ja wcale nie chcę, żebyś ty do nas przyszła — odparła przebiegle Felka — tylko, żeby Franek tutaj przyszedł....

— Tutaj! — przeraziła się Staszka — ależ to jeszcze gorzej! — Mama może lada chwila wrócić z kościoła — wyobraź sobie coby to było!... Do tego wszystkiego jeszcze obiadu nie nastawiłam tak, jak mi kazała.

— Zdążysz jeszcze, zdążysz.... — zawołała Felka i nie zważając już na opozycyę Staszki, skoczyła do drzwi, które uchyliła szybko i ręką skinęła na kogoś, oczekującego widocznie w sionce.

Zanim się Staszka opamiętać mogła, już przed nią stał Franek Kuźma i w gorącym uścisku pochwycił jej zawieszoną rękę.

— Panno Stasiu! Podsłyszałem coś nie coś z waszej rozmowy tam za drzwiami, a chciałem już wpaść bez pozwolenia pani — ale mnie Felka zawołała. Boże mój! co się znowu tu dzieje! Przeczuwałem odrazu, że pani Gawlikowa nie bardzo mi rada, ale żeby do takiego stopnia, żeby pani do nas nie pozwalać przychodzić! No! co będzie teraz! Ja chyba oszaleję, jak pannę Stasię widywać nie będę!

— Cicho! cicho! — uspakajała Staszka — trwożliwie patrząc ku drzwiom, które pilnowała Felka. — Mama nadejść może... Panie Franku! Co ja mogę! Muszę być na razie mamie posłuszną, żeby jeszcze gorzej nie zaostrzyć sprawy.... Może powoli... później trochę.... przekona się, nie będzie taka surowa dla mnie... Ale teraz musi tak być! Nic na to nie poradzimy!

Ciemne oczy chłopca pociemniały jeszcze od gniewu i żalu jaki w nich zabłysnął. Cała jego sympatyczna, otwarta twarz wyrażała w tej chwili nieugięte postanowienie jakiem był przejęty.

— Dobrze — wyrzekł z trudem, walcząc z buntem, który targał nim wewnętrznie. Niech i tak będzie, skoro taka wola panny Stasi. Nie chciałbym za nic przysparzać jej smutku i przykrości. Ale jeżeli panna Stasia nie zmieni się dla mnie, to Bóg mi świadkiem, że będzie moją



Zanim się Staszka opamiętać mogła, już przed nią stał Franek Kuźma.

żoną. Wcześniej czy później tak będzie, choćbym miał cztery Gawlikowe przeciw sobie. Jak się przekona, że tylko jedna śmierć nas może ze sobą rozłączyć, to ustąpić musi... Ja za siebie ręczę, ale ty Stasiu — dodał gorąco zaglądając jej w oczy.

— Ja także! — odparła z mocą dziewczyna, podnosząc na niego rozpromienione spojrzenie, w którym mógł wyczytać całą jej duszę oddaną mu na dolę i niedolę życia całego.

Bezwiednie pochylili się ku sobie i długi, bezpamiętny pocałunek złączył ich usta.

Zaledwie Staszka oszołomiona odsunęła się od Franka, drżąc jeszcze całem ciałem od wrażenia, które ogarnęło całe jej młode istnienie budząc się do rozkoszy i szczęścia, kiedy do kuchni wpadła Felka zadyszana!

— Baczność! — zawołała niespokojna. — Wybiegłam do bramy, żeby pilnować waszego odwrotu i zobaczyłam twoją matkę na rogu ulicy, rozmawiającą z jakąś kumoszką! Franek! Straćmy się, bo burza z piorunami w powietrzu!

Ucałowała Staszkę, pochwyciła brata za rękę i wybiegła z nim, rzucając jeszcze na progu:

— Jutro w szkole ułożymy plan kampanii, ty zabieraj się teraz prędko do obiadu.

III.

Cały następny tydzień minął nie przynosząc nic szczególnego w domowym ustroju rodziny Gawlików. Dzień biegł za dniem, monotonny, szary, podobny do mglistych, jesiennych wieczorów, zasnutych mgłą ciężką, tłumiąc raź niejszy oddech życia w piersiach ludzi.

Tylko głos Gawlikowej brzmiał mniej ostrzej niż zwykle i w oczach jej paliły się przebłyski wewnętrznego zadowolenia i nadziei, kiedy pod nieobecność męża i Grodzickiego szeptała po kątach z Kazią, zdradzającą także lekkie podniecenie i oczekiwanie. Na Staszkę mało kto zwracał uwagi, z czego dziewczyna czuła się bardzo zadowolona, bo swobodnie oddawać się mogła rozmyślaniom i nauce.

Do Felki nie chodziła, stosując się do żądania matki, ale czasem kiedy wracały obydwie w południe ze seminaryum, spotykały niespodziewanie Franka, który przypadkowo znajdywał się na ich drodze i podprowadził kilka kroków, nie zważając na jej napomnienia i uwagi.

— Przecież pani do nas chodzić przestała — tłómaczył jej, patrząc z rozbrajającym uśmiechem w jej oczy, a że się przypadkiem spotkamy, to przecież nie zbrodnia. Ulica jest dla wszystkich i nawet pani Gawlikowa nie mogłaby się o to gniewać.

Dla Stasi te krótkie chwile spędzane przy nim, były niemałą pociechą, bo dodawały jej sił i odwagi do przetrwania smutnych dni rozterki i tęsknoty. Chociaż niekiedy czyniła sobie w głębi duszy ostre wyrzuty, że nie zupełnie lojalnie postępuje wobec matki, to jednak każdego ranka budziła się z żywą nadzieją, że go może zobaczy i ta nadzieja była dla niej promieniem słońca padającym na szarzyznę i smutek dnia całego.

W ostatnich dniach tygodnia jakieś silne naprężenie dało się odczuć w zwykłej atmosferze otaczającej Gawlików. Zdawało się, że jakiś prąd elektryczny przebiegł w całem mieszkaniu, wytrącając bieg ich życia z codziennej utartej drogi.

Gawlik, który wyszedł w sobotę wcześniej z domu, nie powrócił na obiad. Gawlikowa zaś usiedzieć za ladą nie mogła i rozgorączkowana, z wypiekami na twarzy, podchodziła co chwila do drzwi, wyglądając na ulicę, to znowu zostawiając sklep na łasce losu biegła do kuchni przypilnować obiadu, nastawionego obficiej i staranniej niż innych dni. A kiedy popołudniu Olearczykowa, jak się to jej często zdarzało, wsunęła się na zwykłą pogadankę, Gawlikowa przeprosiła ją sucho, że niema czasu, że przy sobocie ma wyjątkowo więcej zajęcia i wyprawiła ją z powrotem, zapraszając na dzień następny.

Około godziny siódmej wpadła Kazia, która wcześniej wyszła z pracowni i poświęciła nawet wieczorny kurs języka francuskiego, aby się prędzej znaleść w domu.

— Ojca jeszcze w domu niema? — zapytała matki kręcącej się bezcelowo po kuchni.

— Niema! Ale czego ty właściwie chcesz? Przecież nie mógł przyjść jeszcze.

— Miał się także wcześniej uwolnić.

— Widocznie nie mógł, skoro nawet na obiad nie przyszedł — pocieszała się Gawlikowa, choć ją coraz większy niepokój dręczyć zaczynał.

Całą godzinę przesiedziały obydwie w kuchni nadsłuchując, czujne na każden odgłos kroków rozbrzmiewających w sieni.

Jeszcze ciemniejsze wypieki wybiegły na drgającą twarz Gawlikowej. Kazia zaś przygryzała nerwowo usta i wzdychała raz po raz spoglądając ku drzwiom.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Nieraz odzywały się głosy, iż Europa (która w danym wypadku występuje jako wyrazicielka opinii całego świata...) zbyt mało się Polską interesuje, że ją więcej obchodzi los jakichś tam Malissorów lub Mirydytów. Na to narzekał nieraz i kronikarz, ale dziś dopiero widzi, że nie miał racyi, bo stokroć byłoby dla nas lepiej, gdyby o nas wogóle nic nie mówiono, zostawiając nas samych sobie, lecz nie w tem znaczeniu, jak to dotąd czyni ta wobec nas Koalicya. Dziś o nas i mówią i piszą i telegrafują, z drutem i bez drutu i cóż nam z tego? Znaleźliśmy się, częściowo skutkiem własnej nieoględności, ale też i fatalnego zbiegu okoliczności w tem miłem położeniu, o którem mówi poeta-filozof: „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły“...

Z tego nieszczęśliwego zająca nie pozostanie nawet skórka, jako pamiątka dla spadkobierców.

Jeżeli się zaś doda do tego, że wiadomości polityczne, jakie nadchodzą z zagranicy, są wogóle niejasne i bardzo lakoniczne, a nasze k r y n i c e p o l i t y c z n e tak mętne, ich zaś kierownicy o tak krótkiej pamięci, iż na drugiej już stronicy zapominają o tem, co zapisali na pierwszej, nic też w tem dziwnego, iż zwykły śmiertelnik, czerpiący z nich swe polityczne uświadomienie, staje zrozpaczony, załamuje ręce i pyta z rozpaczą: „Zgadnij Jezu, kto Cię bije?...“

Chaos, gmatwanina, prawdziwe b e z h o ł o w i e. Studyując politykę, gniewa się każdy najpierw na nią, potem na siebie, że się nią zajmuje, a potem na cały świat, na wszystko i na wszystkich. Że zaś „gniew piękności szkodzi“ (podobno i u mężczyzn), tyleby wskazanem puścić politykę „kantem“, zabrać się zaś do rzeczy, nic z nią wspólnego nie mających, bo i takich w naszych pismach codziennych, zapewne dla rozmaitości, nie brakuje. Za taką uważam wiadomość, podaną przez „Kuryera“ w ubiegłym tygodniu. Na pozór drobna, a przecież o potężnem znaczeniu. Ni mniej, ni więcej, tylko udało się pewnemu naturalnie amerykańskiemu uczonemu, przerobić kurę na koguta i to ze skutkiem dodatnim, gdyż po operacyi dawniej pacyentka, a obecnie już pacyent ma się dobrze, próbuje piać, rosną mu ostrogi i grzebień, nie znosi jaj, słowem, nóż chirurga dokonał tego, o czem się nawet filozofom nie śniło. Zachęcony powodzeniem, chcę w ten sposób wpływa na podrożenie jaj w Ameryce, specyalnie zaś w Chicago, gdzie stale rezyduje, ma zamiar przeprowadzić doświadczenia na świniach, a potem przenieść je na ludzi. Chcę zatem asystentka katedry fizyologii w Filadelfii, panna Mallvie, jak o tem swojego czasu donieśliśmy, zaprzysięgła rodzajowi męskiemu zatratę, obiecując w retortach rodzić same osobniki płci nadobnej, kpimy sobie z niej i z jej teoryi, dzięki bowiem doświadczeniu chirurga z Chicago, część tych niewiast przerobi się na mężczyzn i wszystko pójdzie starym rzeczy porządkiem. Restacya pojęć, w tym przynajmniej kierunku, jest zatem wykluczona.

Niestety, z tego rodzaju pierwszorzędnemi wiadomościami spotykamy się nie codziennie, zatem i politykę trzeba uwzględnić, nie mogąc pisać o pobycie na świeżem powietrzu, skoro się siedzi w Krakowie i łyka tutejszy kurz i wyziewy, za którymi nie trzeba szukać daleko, ma się je bowiem w każdym punkcie miasta.

Sęk tylko w tem, od czego zacząć, aby rzecz pięknie do końca doprowadzić. W tej sytuacyi ratuje przysłowie: „Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu“. Wystarczy skreślić słowo R z y m, a zapisać W a r s z a w a, już jest wszystko w porządku. Tu zbiegają się nici naszej polityki wewnętrznej i zagranicznej, stąd rozchodzą się również po całym świecie, tworząc tak misternej sieci pajęczej, że się z niej wyplątać trudno.

Przenieśmy się zatem na chwilę do Warszawy, co każdy z Czytelników może tem łatwiej wykonać, iż nie jest to połączone z żadnymi kosztami, zdrowia też na szwank nie narazi, gdyż kronikarz postara się o podanie nawet i przykrych wiadomości w możliwie delikatnej formie.

W poprzedniej kronice zaznaczyłem już, że gabinet pana Grabskiego przeszedł w dobrze zasłużony stan spoczynku, a tym mężem, który ma ratować Ojczyznę, jest Witos w kombinacyi z Daszyńskim. Prezydent Grabski pożegnał się ze swym gabinetem, wygłaszając mowę, w której zaznaczył, że w ciągu swych trzydziestojednodniowych rządów chciał wiele zrobić dobrego, a jeżeli zrobił mało, to tylko z powodu braku czasu. Na swą pochwałę dodał, iż w tym czasie nie było w Polsce ani jednego nowego strajku lub większego zaburzenia, drobne bowiem, n. p. sceny małżeńskie w grę nie wchodzą.

Kronikarz, choć wobec władzy jest zawsze lojalnie usposobiony, musi się przecież w tym wypadku panu ministrowi sprzeciwić. Owszem, był za jego rządów strajk, który się wprawdzie dopiero zaczął, zapowiada się przecież na bardzo długi. Oto palacze, dotknięci nową podwyżką cen wyrobów tytoniowych, postanowili wstrzymać się od palenia, ewentualnie kupować jedynie szwarcowane cygara papierosy i tytoń, które „w pasku“ są tańsze i lepsze. niż w rządowej trafice, w której się jeszcze trzeba dopraszać o sprzedanie, jak o jaką łaskę. Dawna podwyżka miała zasilić skarb państwa, tymczasem będzie mieć efekt wprost przeciwny. Już to, trzeba przyznać, nasz rząd nie ma szczęścia przy tworzeniu projektów finansowych.

Jeździł p. Grabski i do Spaa na polecenie Rady Obrony Państwa, jeśli się im nie spodobał, to nie jego wina, tylko bolszewików, którzy, jak się obecnie pokazuje, nic sobie nie robią nie tylko z Ligi Narodów, ale i z Lloyda Georgea i w sprawie jego pośrednictwa politycznego kazali do siebie pisać na Berdyczów.

Miało to przecież i pewne dobre skutki, gdyż otwarło oczy angielskiemu mężowi stanu, że są tacy, którzy pozwalają sobie nie słuchać jego rozkazów, co tak pono wziął sobie do serca, iż politykę puszcza w trąbę, bodaj na jakiś czas i wyjeżdża na urlop.

Na jego miejsce wchodzi znów Wilson, który już widocznie przyszedł do sił, i oświadcza, że, niech się dzieje co chce, ale plebiscyt na Śląsku Cieszyńskim musi sam przeprowadzić.

W czyjej głowie zrodziła sie koncepcya samodzielnej „zachodniej Ukrainy“, to jest byłej c. k. Galicyi wschodniej, nie wiadomo, w każdym razie jest to „wyrób angielski“, skoro metropolita Szeptycki wybiera się w tej sprawie do Londynu.

Politycy koalicyjni widzą, że postępowanie wobec Polski było z gruntu fałszywe i ich samych może narazić na szkodę, starają się zatem złe naprawić. Millerand w Izbie deputowanych oświadczył, ku wielkiemu niezadowoleniu socyalistów, że Francya nie odmówi Polsce najdalej idącej pomocy, to samo powtórzył w Izbie gmin Lloyd George, ale w sposób oględniejszy, zaznaczył bowiem wyraźnie „o ile Polska byłaby zaatakowaną w swych granicach“, a niewiadomo, z jakiego podręcznika uczył się geografii i które granice uważa za właściwe.

Nawet Węgry oświadczyły, że nie mogą patrzeć bezczynnie na to, jaki los spotka Polskę, dodać jednak należy, że nie z afektu, lecz dla interesu.

Francya i Anglia wysłały na razie do Polski komisyę, aby zbadać na miejscu jakiej i ile pomocy potrzeba, można się więc spodziewać, że na front bolszewicki będzie odkomenderowaną na razie c a ł a załoga francuska dajmy na to ze Spiża, wynosząca razem z komendantem siedm sztuk.

A cóż na to bolszewicy?... Jak w ubiegłym tygodniu doniósł „Kuryer“, „bolszewicy w popłochu uciekają za Styr“... Pokazuje się przecież, że ich dowództwo nie potrafi się oryentować, zamiast bowiem obrać kierunek wschodni, pchają się ku zachodowi.

Co do propozycyi pokojowych oświadczyli, że się obejdą bez pośredników, wyznaczyli nawet termin spotkania delegatów polskich i rosyjskich, czy to jednak prawda trudno na to przysięgać. Na razie układają warunki pokojowe, które, gdyby były bodaj w części podobne do tych, jakie kolportują ich sympatycy, moglibyśmy się pożegnać z naszą samodzielnością. Polska nie może im przeszkodzić w bezpośrednim kontakcie z Niemcami. Tak się wyraził delegat sowiecki Kap w Berlinie, tego się boi Koalicya, my zaś czujemy, że czy to z tej, czy z tamtej strony, rozchodzi się przecież o naszą skórę, a ona w podobnych wypadkach bywa stale na szwank narażoną.

Tego samego zdania, że Polska jest niepotrzebnem i tylko zawadzającem państwem są i Niemcy, które nie straciły nadziei, że jeszcze wypłyną na wierzch. Według ich opinii (i pobożnego życzenia...) traktat wersalski będzie obalony, Polska zniszczona, Francyę pobije Anglia, Anglię Ameryka, z czego one skorzystają i, odwdzięczając się Anglii za dotychczasową protekcyę, nadal nie odmówią im poparcia i będą wspólnie robić dobre interesy.

I w tem właśnie oświetleniu występują bardzo jaskrawo wszystkie błędy polityki koalicyjnej, głównie zaś angielskiej, wobec Polski. Teraz dopiero ma się na gwałt naprawić to, co było od początku fałszywie prowadzone.

Czy jednak nie zapóźno, gdy bolszewik „w panicznym postrachu“ wlazł już nawet do Galicyi?... Wiele zależy też od owej koalicyjnej komisyi, która ma orzec, czy Polska pomocy potrzebuje, ewentualnie ile i jakiej. W jej decyzyi byłby wskazany pośpiech i to taki, co to naprawdę może się nazywać pośpiechem.

W nowym gabinecie Witosa Daszyńskiego sprawa wojny i pokoju dostała się w ręce wiceprezydenta gabinetu Daszyńskiego, który z pewnością dołoży starań, aby już raz skończyć z wojną i zabrać się do pracy pokojowej, jaka na nas czeka.

Aby ten pokój był przecież honorowym, a nie upokorzeniem, musimy pokazać światu, że jak jeden mąż stoimy na straży interesów Ojczyzny i nie wahamy się poświęcić dla niej majątek i zdrowie, a nawet życie.

Niestety, zamiast stanąć ramię przy ramieniu, to jest jeden obok drugiego, jeden chowa się za drugim i to tak przy subskrybowaniu pożyczki Odrodzenia, jak i wstępowaniu w szeregi armii. Gdyby jednak kto słyszał, jak my pięknie mówimy na różnych zebraniach, wiecach, w komitetach, jak chętnie bierzemy udział w różnych pochodach manifestacyjnych, myślałby sobie, że to szczęśliwy kraj, który ma takich troskliwych o jego dobro obywateli. Ale to bieda, że się tylko na tych słowach kończy!...

Zapytaj pierwszego z rzędu, ile pożyczki podpisał, powie ci, że dotąd się nie zdecydował na wysokość kwoty, zresztą pocóż się spieszyć, skoro i tak czeka pożyczka przymusowa?..

Inny znów jest zdania, że „niech najpierw dadzą ci, którzy mają więcej, a on już w tyle nie zostanie!... Każdy ma na ustach jakieś wytłómaczenie, każdy w nie nawet wierzy, że jest uzasadnione. Co zaś najciekawsze, to że te skrupuły rodzą się właśnie w głowach tych, którzy mają najwięcej, biedacy zaś niosą chętnie swój grosz wdowi, aby go złożyć na ołtarzu Ojczyzny.

Zupełnie to samo powtarza się i z racyi werbunku do armii ochotniczej.

— Panie łaskawy! — mówi X. — Bez jednego żołnierza będzie wojna!.. Niech tylko zgłoszą się inni, a będzie aż zadużo!...

— Ja tam — tłómaczy się Y — bardzo chętnie zgłosiłbym się nawet na front, gdyż czuję, że wstąpił we mnie duch rycerski, odkąd noszę przerobione wojskowe prześcieradło mego kuzyna, ale cóż ja na to poradzę, jeśli żona nie pozwala...

Pani Z. natomiast chciałaby małżonka oglądać w szeregach i pisząc tak ze wsi zaznacza, że „pewnie Cię ten list już w Krakowie nie zastanie, boś podążył tam, dokąd Cię obowiązek wzywa...“ Niestety, jemu brak czasu i... ochoty.

Nie tylko inteligencya postępuje w ten sposób, co możnaby po pewnej części tłómaczyć tem, że nie poczuwa się do obowiązku, skoro jej odmówiono udziału w rządach i miłości Ojczyzny. Tak samo zachowuje się i chłop, a nikt się nie znajdzie, kto przemówiłby mu do rozumu. Panowie posłowie ludowi politykują lub spierają o teki, a połowicznie uświadomiony chłop wie tylko o tem, jakie ma prawo, a stale zapomina o obowiązkach.

Ile milionów mogłoby złożyć nasze włościaństwo na pożyczkę Odrodzenia, a ile ich daje, to pytanie, na które czeka niezbyt pocieszająca odpowiedź. A werbunek do armii ochotniczej?.. Poszli ochotnicy lecz ze sfer inteligencyi, bo chłop zajęty żniwem!

O „neutralnych“ werbunku i mowy być nie może. Tak w jednym, jak i w drugim kierunku dochowują stale neutralności. Kapitały swe ulokowali gdzieindziej daleko korzystniej, potrzebują ich zresztą ciągle, wojna zaś, o ile się nie jest „dostawcą“ to nie żaden interes...

Cała więc troska o dobro i byt Ojczyzny spoczęła na głowie i barkach inteligenta i to przeważnie z średniej klasy. On jeden pełni swe obywatelskie obowiązki, gdy inni umieją się tylko upominać o swe prawa.

Złe jest, ale przecież może kiedyś będzie lepiej, mimo, że nie zakosztujemy bolszewizkiego raju i jego dobrodziejstw.

Obecnie jedynem i gorącem pragnieniem każdego jest doczekanie się jak najrychlejszego zawieszenia broni z Rosyą, a potem rokowań pokojowych. Czas już najwyższy, aby się wojna skończyła, na co się przecież nie zanosi. Rząd sowiecki zwleka z dnia na dzień, wynajdując coraz to inne przeszkody, a pomoc Koalicyi podobno jest w drodze, ale też się jej nie spieszy, zwłaszcza iż francusko angielska komisya, wysłana do Polski, badań swych jeszcze nie skończyła.

Niechaj jednak bolszewicy nie przeciągają struny, która łatwo może pęknąć. Naród polski, doprowadzony do ostateczności, zerwie się do czynu, nie oglądając się na obcą pomoc i nie respektując interesów swych opiekunów, zrobi sam porządek z nieproszonymi gośćmi. Szli szybko naprzód, wracać będą jeszcze spieszniej, a czerwony rosyjski niedźwiedź, liżąc swą łapę, będzie miał słuszny powód do narzekania na naszą niegościnność. Nasi domorośli bolszewicy, którzy już przygotowali chleb i sól na powitanie swych rosyjskich kolegów, doznają sromotnego zawodu...

Takich więcej!...

Pomiędzy tymi, którzy na pierwsi stanęli do apelu w ciężkiej potrzebie kraju, — są ziemianie płoccy.

Z inicyatywy lipnowskiego Związku Ziemian



Takich więcej: Stanisław Nałęcz organizator i komendant ochotniczego oddziału kawaleryi z powiatu lipnowskiego Ziemi płockiej.

cała Ziemia płocka energicznie wzięła się do dzieła i potrafiła w kilku dniach zorganizować szwadron wyborowej jazdy.

Każdy z obywateli stawił się wyekwipowany własnym sumptem konno, w mundurze, doskonale uzbrojony i tydzień temu oddział przeszło 100 konny wyruszył do Żelaznej pod Skierniewicami, skąd, połączywszy się z oddziałem kujawskim i skierniewickim, już w sile 150 koni, pod wodzą p. Władysława Nałęcza z Kikoła, koleją odjechał na front.

Kilka dni temu oddział ten przejeżdżał przez Kraków.

Serce się radowało na widok tych pełnych animuszu postaci, z których nie jeden już grubo 50 letni, zostawił żonę, dzieci i całe gospodarstwo na Boskiej łasce.

Patrząc na nich, chciało się pytać, który z panów Kmicicem, a który Wołodyjowskim?

Szwadron oddał pan Nałęcz dowódcy Krechowieckiego pułku, który, przyjmując raport, wierzyć nie chciał, że on nigdy w wojsku nie służył. Szwadron ćwiczy się teraz pod Tarnowem i za kilka dni wyruszy w dalszą drogę.

— O 4 rano — powiada komendant — wspólny pacierz, potem „Kiedy ranne", Rota Konopnickiej i prawie przez cały dzień ćwiczenia.

Oddział ten, w którym nie braknie felczera i kowala, ma ze sobą wozy taborowe, żywność dla siebie i koni, a także niezły fundusz — wszystko dary tych ziemian, którzy sami wyruszyć nie mogli. — Bóg z Wami, dzielni ziemianie!

Ostatnie chwile bohatera.

Żaden z narodów, biorących udział w tych tytanicznych zmaganiach się, jakich widownią była zwłaszcza Europa, nie złożył na ołtarzu ogólnego dobra tyle ofiar, co polski. Siódmy rok krwią serdeczną rosi kresy Ojczyzny kwiat naszej młodzieży, ale z posiewu tego miejmy nadzieję, zrodzi się mściciel, który się kiedyś upomni o nasze krzywdy.

Jakich cudów waleczności dokazywała i dokazuje nasza dzielna armia wie świat cały. O wielu mówi się i pisze, więcej jednak dowodów prawdziwego męstwa i bohaterskiego poświęcenia nie dostaje się do wiadomości publicznej i ginie w mroku niepamięci.



Ostatnie chwile bohatera: Rodzina Tetmajerów. W towarzystwie ojca i brata, Jan Kazimierz Tetmajer, chor. 8 pułku ułanów (X) poległy śmiercią walecznych w ostatnich bojach na Wołyniu.

Jednym z takich cichych bohaterów, który w boju pod Stanisławczykiem na Wołyniu poległ śmiercią walecznych w dniu 28 lipca b. r. był Jan Kazimierz Przerwa Tetmajer, chorąży 8 pułku ułanów, syn Włodzimierza, byłego posła Ziemi krakowskiej i wybitnego działacza społecznego. Zginął jak prawy Polak z bronią w dłoni w obronie granic swej Ojczyzny, gdy na czele swych ułanów rzucił się na przeważające siły czerwonej dziczy, by jej odbić zagarnięte nasze armaty. Zwracano Mu uwagę, by się zbyt nie narażał, oświadczył z uśmiechem, że musi być pierwszy i widzieć gdzie ma swych ułanów prowadzić. Kula przeszyła Mu rycerskie serce. Los ten spotkał prawie cały pułk 8, którego członkowie w obronie honoru Ojczyzny i armii wyginęli prawie do jednego.

Ś. p. Jan Kazimierz Tetmajer jako 19 letni młodzieniec wstąpił do armii polskiej w listopadzie 1918 roku — W roku 1919 bił się na Wołyniu w jeździe kresowej sławnego majora Jaworskiego, poczem po ukończeniu szkoły podchorążych przeszedł do 8 pułku ułanów.



Koronacya cudownego obrazu Matki Boskiej w Zawadzie: Widok kościoła parafialnego, w którym znajduje się słynny cudami obraz.

Ofiarność robotników na pożyczkę Odrodzenia.

Dnia 15. b. m. odbył się wiec robotników zajętych we fabryce Towarzystwa akcyjnego „Azot" w Borach ad Jaworzno, na którym postanowiono jednogłośnie przepracować najbliższą niedzielę w pełnym składzie robotników i cały zarobek przeznaczyć na Pożyczkę Odrodzenia. Nadto zaproponowano robotnikom, ażeby jedną godzinę pracy dziennie oddawali na pożyczkę, na co również bardzo wielu robotników z chęcią przystało tak, że od następnego poniedziałku zacznie Dyrekcya fabryki „Azot" ściągać codziennie z robotników, którzy propozycję przyjęli zarobek z jednej godziny pracy dziennie po upływie każdego tygodnia będzie zakupywać imiennie dla każdego subskrybenta odpowiednią ilość asygnat pożyczki. Kwoty z tego wynikłe według ilości zapisujących się przewiduje dyrekcya około sto tysięcy marek. Oby takich więcej!

Koronacya cud. obrazu Matki Boskiej w Zawadzie.

(Do illustracyi na str. 9).

Od pierwszych chwil wprowadzenia chrześcijaństwa odznaczał się naród polski nadzwyczajnem nabożeństwem do Matki Boskiej, którą obrał sobie za Królową Korony Polskiej, oddając się pod Jej orędownictwo w czasach doli i niedoli. Dziadowie i ojcowie nasi rozpoczynali dzień śpiewaniem „Godzinek" na Jej cześć, z Jej Imieniem na ustach szli nasi rycerze na wroga. Cudowne wprost ocalenie Częstochowy przed przemocą Szwedów wznieciło jeszcze bardziej wiarę w opiekę, jaką Matka Boska otacza stale naszą Ojczyznę.

Wielbili „Pannę święta. co jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie"... i nasi wielcy poeci narodowi, dając w ten sposób wyraz uczuć ogółu.

Nadszedł czas wojny, zdawało się, że przyjdzie nam zginąć pod naporem wroga... Pospieszono przed Jej ołtarze, wołając ze łzami: „Matko ratuj, bo giniemy!..."

I wysłuchała Królowa Korony Polskiej prośbę swych wiernych poddanych. Stał sie cud!... Polska nie zginęła, wróg padł, a nam zabłysła jutrzenka Wolności!

I znów pospieszono przed Jej ołtarze tym razem z podzięką na ustach i błaganiem, by nas ratowała od bolszewickiej nawały, a jednym z dowodów hołdu dla tej naszej Królowej ma być koronacya cudownego Jej obrazu w kościele parafialnym w Zawadzie koło Dębicy. Naznaczono ją na dzień 8. września b. r. W dniu tym u stóp Jej ołtarza zbierze się polski episkopat wraz z duchowieństwem, nadpłyną tysiączne rzesze wiernych, bo chyba niema między nami nikogo, kto nie czułby chęci i potrzeby za coś podziękować lub o coś poprosić... Nawet ci, którzy wobec świata udają niedowiarków, kiedy nadejdzie trwoga, przypominają sobie o Panu Bogu, błagając o orędownictwo Tę, która „zna dzieci los" i stara się od nich odwrócić wszelkie bolesne ciosy.

* * *

Komitet zajmujący się przygotowaniami do uroczystości koronacyjnych uprasza wszystkich Rodaków o nadsyłanie datków na pokrycie kosztów sprawienia koron. Datki te należy przesyłać pod adresem: Urząd parafialny w Zawadzie koło Dębicy (Małopolska). Za fundatorów odprawiać się będzie po wieczne czasy msza św. w rocznicę koronacyi.



Skutki koalicyjnej polityki na Wschodzie: Mustafa Kemal basza, przywódca nacyonalistów tureckich w Angorze.

Skutki koalicyjnej polityki na Wschodzie.

Traktat pokojowy, który miał doprowadzić do uporządkowania stosunków po wojnie światowej, nie odniósł skutku. Jedne z państw przyjęły go, ale nie mają go zamiaru dotrzymać, inne odmawiają nań zgody, czując, że się im dzieje krzywda.

Do rzędu tych ostatnich należy Turcya, która przez swych delegatów starała się w Spaa u przedstawicieli Rady Najwyższej o złagodzenie warunków, odmawiając w przeciwnym razie jego przyjęcia. Nota turecka zaznacza, że Turcya została zmuszoną do wojny i nie powinna być surowiej traktowaną, niż inne państwa.

Odpowiedź Koalicyi była stanowcza. Państwa sprzymierzone oświadczają wyraźnie, że Turcyi nikt do udziału nie zmuszał, że uczyniła to z własnej woli, a przecinając komunikacyę z Rosyą i Rumunią, przedłużyła wojnę najmniej o dwa lata i naraziła Koalicyę na nadzwyczajne straty. Wobec tego wszystkie warunki traktatu muszą być ściśle wykonane, zmieniono jedynie jeden z warunków, mianowicie nakaz wydania wszystkich okrętów ponad 1.200 ton pojemności, oraz przyznano Turcyi prawo brania udziału w komisyi cieśnin morskich.

A warunki traktatu, podyktowane Turcyi, są bardzo ciężkie i raz na zawsze wykreślają ją z rzędu mocarstw. W Europie zostawiono im Konstantynopol, ale tylko *de nomine*, gdyż *de facto* rozsiedli się tam już Anglicy, posiadłości ich w Azyi obcięto do *minimum*.

Nic też dziwnego, że podobnego traktatu naród turecki przyjąć nie chciał, a sułtan zgłosił raczej swą abdykacyę, wiedząc o tem, że podpisując warunki pokojowe, straci tę resztkę władzy i znaczenia, jakie mu jeszcze zostały. Narodowcy tureccy pod przewodnictwem Kemala Mustafy baszy wystąpili otwarcie i z bronią w ręku przeciw Koalicyi i jej zarządzeniom, a ruch ten wzmaga się z dnia na dzień. Zachodzi obawa, że może w nim wziąć udział cały świat muzułmański, widzący w obecnej sytuacyi jedyną drogę wyjścia do uwolnienia się od angielsko-francuskiej zależności. Mała Azya jest widownią krwawych walk, to samo powtórzyło się w Syryi, gdzie ogłosił się królem Fajzel, emir Hedżasu, a łatwo przenieść się może do Persyi i Indyi, co bynajmniej nie leży w interesie Anglii.

Niemcy i rosyjscy bolszewicy, znając dobrze tę bolączkę angielską, popierają też stale turecki ruch nacyonalistyczny, rozchodzący się po całym azyatyckim kontynencie z Angory, gdzie rezyduje Mustafa Kemal basza, a może się stać groźnym nie tylko dla interesów Anglii i Francyi, ale wprost dla całej cywilizowanej Europy, nie lekceważącej sobie bynajmniej „żółtego niebezpieczeństwa".

Obecna sytuacya w Azyi to groźne *memento* dla Koalicyi, iż z ogniem igrać się nie powinno.



Z „bałkańskiego kotła": Książe regent Aleksander w czasie podróży przez zajęte kraje, na jeziorze Bled w Sławonii.



Lwowska szkoła operowa prof. Cz. Zaremby Kierownik szkoły prof. Czesław Zaremba.

Z „bałkańskiego kotła".

Bałkan sprawiał Europie stale wiele kłopotu. W „tym kotle", jak się przed wojną wyrażano, wrzało ciągle, a podpalał pod nim ogień raz ten, to znów inny, w miarę swych własnych interesów. Stąd wyszło też zarzewie pożaru, jak w roku 1914 objął świat cały.

Zwłaszcza mała i uboga Serbia była tym terenem, na którym stale ścierały się interesy austryackie i rosyjskie. Dopóki na tronie serbskim zasiadał Milan, prowadziła Serbia politykę wybitnie austrofilską, z chwilą powstania dynastyi Karageorgiewiczów, przeważyły stanowczo wpływy rosyjskie, choć Serbia i wtedy jeszcze działała raczej oparciem o swego bezpośredniego sąsiada. Teraz dopiero okazują się w całej pełni błędy austryackiej dyplomacyi, która nie umiała i nie chciała skorzystać ze sposobności, aby przywiązać stale do swego wozu serbskiego sąsiada. Nie żądał on wiele, chciał w Austryi znaleźć jedynie rynek zbytu dla swych rolniczych produktów. Na to jednak nie pozwalały interesy austryackich, a przedewszystkiem węgierskich agraryuszy.

Pozatem przerażały Austryę i Węgry aspiracye wielkoserbskie, podsycane stale przez Rosyę.

Polityka austryacka zrobiła *fiasco*. Nadszedł rok 1914 i wypadki w Sarajewie, następstwem ich była wojna i rozpadnięcie się Austryi, a częściowo na jej gruzach pozostało państwo jugosłowiańskie, pod zwierzchnictwem Serbii, będąc zrealizowaniem dawnych wielko serbskich dążeń.

Południowa Słowaczyzna, składająca się dziś z Serbii, Czarnogóry i południowych części dawnej Austryi i Węgier, to dziś państwo poważne z którem muszą się liczyć sąsiedzi, a Karageorgiewicze są właściwie tymi, którzy przyczynili się głównie do zjednoczenia Słowian południowych i, kto wie, czy nie wyciągną ręki i po Bułgaryę, która bardzo źle wyszła na austryacko-niemieckiej polityce, a z którą łączą ją oddawna węzły sąsiedzkiej nienawiści.

Rodzina Karagieorgiewiczów cieszy się też w Jugosławii zasłużonem uznaniem i sympatyą, których dowody zbierał niedawno książę regent, Aleksander, objeżdżając swój kraj. Zwłaszcza na ziemiach, które przedtem wchodziły w skład monarchii austro-węgierskiej, witano go z prawdziwym entuzyazmem, jaki Słowianin okazuje potomkom swych narodowych bohaterów. Podróż księcia Aleksandra była jednem pasmem serdecznych owacyi, z jakiemi spotykał się na każdym kroku.

Myliłby się przecież, kto przypuszczałby, że „wrzenie w bałkańskim kotle" ustało raz na zawsze. Miejsce Austryi i Rosyi zajęły obecnie Włochy, a Bałkan jest znów terenem starć z miejscową ludnością, broniącą się przed przewagą włoską, grożącą jej w miejsce dawnej niewoli austryackiej i tureckiej.

Niemcy przepraszają Francyę.

(Do illustracyi na str. 4).

Największa bieda, jak się zdaje, nie nauczy Niemców rozumu. Tak są przekonani o swej wielkości i potędze, że nie pozbędą się nigdy tej buty i pyszałkowatości, którą zrazili sobie świat cały. Chwaląc się swą cywilizacyą i kulturą i uważając się za jej pionierów, składają ciągle dowody, że jest im ona, przynajmniej w ogólnem, ludzkiem zrozumieniu, zupełnie obcą.

Świadectwem, że tak jest, a nie inaczej, był dzień 14 lipca b. r. w Berlinie. W dniu tym obchodzili Francuzi swoje święto narodowe, a gmach swej ambasady, w Berlinie przystroili flagami o barwach narodowych.

To nie podobało się „kulturalnym Niemcom". Przepaść, jaka stanęła między Niemcami a Francyą, pogłębiła się jeszcze bardziej dzięki wojnie światowej, a pruska gadzina, choć jej wyrwano zęby i pazury, w bezsilnej swej wściekłości plwa bodaj jadowitą śliną.

Z balkonu ambasady zdarto sztandar francuski, a czynu tego dopuścił się Paweł Krazmilski, 21-letni robotnik snycerski. Przypadek może zrządził, iż sprawca nosi nazwisko o słowiańskim brzmieniu, ale nie jest także wykluczonem, że jest to nowy dowód pruskiej perfidyi. Właściwy moralny sprawca pozostaje w tyle, odpowiedzialność i oburzenie spada na narzędzie, nie zdające sobie często nawet sprawy z tego, co robi i dla kogo.

Sprawcę aresztowano, gdyż inaczej być nie mogło, w zachowaniu się jednak władz i publiczności widać było, że nie uważają tego za coś nadzwyczajnego, co najwyżej za zwykły odruch rasowej nienawiści.

Uczciwa praca niemiecka i jednostki potępiły surowo wybryk szowinisty. Francya o zadośćuczynienie upomniała się w drodze dyplomatycznej. Ponieważ równocześnie odbywała się konferencya w Spaa, w której brali udział delegaci niemieccy, sprawę i tam poruszono. Francuski prezydent ministrów, Millerand, wyraził swe słuszne oburzenie, a kanclerz niemiecki, Fehrenbach, głębokie ubolewanie.

Akt urzędowej ekspiacyi odbył się w Berlinie w dniu 16 lipca z zwykłym w takich razach ceremoniałem, przepisanym przez prawo międzynarodowe przy współudziale władz niemieckich, oddziału Reichswehru i policyi, która zamknęła zupełnie dostęp na Plac Paryski, aby przeszkodzić ewentualnym dalszym anti francuskiem demonstracyom kulturalnych Berlińczyków.

Sekretarz dla spraw zagr. von Hamell i r. rz. Noll udali się do ambasady francuskiej, ażeby tam wyrazić żal imieniem rządu niemieckiego z powodu incydentu 14 lipca. Wkrótce zjawiła się kompania Reichswehry, która ustawiła się przed ambasadą. Na balkonie budynku ambasady zjawili się Marcilly i oficerowie wojskowej misyi, a na dany znak podniesiono do góry sztandar francuski, kompania Reichswehry prezentowała broń, a następnie uformowawszy się w kolumnę, przedefilowała przed sztandarem.

Podobne zdarzenia są zresztą u Niemców na porządku dziennym. Nie tak dawno, jak przepraszali w Opolu za znieważenie godła państwowego polskiego, w niedługi czas powtórzyło się to samo z flagą francuską w Berlinie, a nie są to ostatnie dowody niemieckiej kultury. Dalszy ciąg z pewnością nastąpi!...

Lwowska szkoła śpiewu prof. Czesława Zaremby.

(Do illustracyi na str. 10).

Z uznaniem podnieść należy, że kultura muzyczna w naszem społeczeństwie stale wzrasta. Zasługa to instytucyi, które zajmują się jej krzewieniem, w lwiej zaś części i szkół prywatnych.

Jedną z takich szkół, zapisanych nadzwyczaj dodatnio na kartach naszego rozwoju artystycznego, jest bezwątpienia lwowska szkoła operowa, zostająca pod kierownictwem znanego artysty śpiewu i wytrawnego pedagoga, profesora Czesława Zaremby. Zajmuje ona w szeregu tego rodzaju uczelni stanowczo najpoczetniejsze miejsce, a dowodem tego cały szereg wybitnych sił operowych, które z nich wyszły i stanowią dziś prawdziwą ozdobę naszej sceny, zbierając pozatem zasłużone laury i oklaski i za granicą.

Ubiegły rok szkolny zakończył prof. Zaremba zwykłym popisem, wystawiając operę Pucciniego „Cyganerya", wyłącznie siłami swych uczniów i uczenic.

Jak sumienną i owocną była praca prof. Zaremby, świadczy osiągnięty sukces. Lwowska krytyka fachowa wyraża się otwarcie, że wystawienie „Cyganeryi" w tej obsadzie, złożonej z uczniów, a nie artystów, mających za sobą długoletnią rutynę, należało do najbardziej udałych w obecnym sezonie.

Partye solowe oklaskiwała gorąco tłumnie zebrana publiczność, sam kierownik, który zajął miejsce przy kapelmistrzowskim pulpicie, był przedmiotem serdecznych owacyi, tak ze strony uczniów jak i audytoryum.

Na pierwsze miejsce wybili się pp. M. Lewicka, Korwin, Martini i Rosenberg, przynosząc chlubę szkole i jej niestrudzonemu kierownikowi. Widocznie ufał prof. Zaremba swym uczniom, wybierając im na popis tak trudną operę, w której musi walczyć z trudnościami nieraz i śpiewak zawodowy.

I przyznać trzeba, że nie zawiódł się!

Pełny sukces, jaki osiągnęła szkoła prof. Zaremby, dowodzi jasno, że nie mają racyi te i ówdzie odzywające się narzekania, jakoby w naszem społeczeństwie, zbyt mało zwracano uwagi na krzewienie kultury muzycznej. Jak na ciężkie wojenne czasy robi się nawet więcej stosunkowo, niż gdzieindziej przy bardziej sprzyjających warunkach.



Praktyczny amerykański wynalazek: Elektryczna maszyna do czyszczenia obuwia wywołująca powszechne zainteresowanie w Nowym Yorku.

Praktyczny amerykański wynalazek.

Wiek XIX może się słusznie nazywać wiekiem pary. Zastąpiła ona w wielu dziedzinach siłę rąk ludzkich i innych naturalnych motorów, jak wody, wiatru itd., ułatwiając i upraszczając pracę. Z końcem XIX wieku straciła przecież i para swoje znaczenie, miejsce jej zajęła elektryczność, znajdująca z dnia na dzień coraz szersze zastosowanie.

Wiek XX. jest już w swych początkach wiekiem elektryczności, bez której współczesny cywilizowany człowiek obejść się nie potrafi. To, co wymyśliła przed niespełna pół wiekiem fantazya genialnych powieściopisarzy z Juliuszem Verné na czele, z czasem, dzięki elektryczności zostało zrealizowane i zastosowane praktycznie. Elektryczność dokonała zupełnego przewrotu w dziedzinie pary, dokonała poprostu cudów, o jakich się nawet filozofom nie śniło, zapotrzebowanie rąk ludzkich ograniczyła przytem do *minimum*.

Niema dziedziny życia ludzkiego, w której nie spotkałoby się praktycznie zastosowanych wynalazków, korzystających z tej nieocenionej wprost a tak taniej siły naturalnej, która dokonała najzupełniejszego przewrotu w dotychczasowem życiu człowieka. Zwłaszcza praktyczny Amerykanin nie wyobraża sobie dziś życia bez korzystania z jej usług, Ameryka jest też właściwą ojczyzną najdonioślejszych wynalazków w tym zakresie. Pomysłowość ludzka wysila się poprostu nad rozwiązaniem coraz to nowszych problemów, a jeden od drugiego praktyczniejszy.

Taka napozor drobnostka, jak czyszczenie butów, ułatwiona i wypróbowana została w Ameryce dzięki specyalnej maszynie, pędzonej elektrycznością. Znalazł się wynalazca, który dotąd łamał sobie nad tem głowę, aż wymyślił urządzenie elektryczne do masowego czyszczenia butów. Z tym nowym wynalazkiem można się spotkać na ulicach Nowego Yorku. W godzinie maszyna ta czyści więcej niż sto par butów sprawnie, elegancko i tanio. Z czasem znajdzie się ten aparat i w większych miastach Europy, odbierając zarobek zawodowym pucobutom, którzy dziś za swe „czynności urzędowe" każą sobie tyle płacić, ile dawniej kosztowała para eleganckich lakierów.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Opolski, Lwów.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

c,	c,	d,	g,
k,	k,	m,	o,
o,	p,	r,	r,
m,	m,	y,	y.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto nad Bałtykiem, 2. Nieuprawna rola, 3. Amerykanin, który przed laty ze swym cyrkiem objeżdżał świat cały, 4. Półwysep w południowo-wschodniej Europie.

Okienko.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a	a	a	a	c
i		k		k
k	k	o	o	ó
ó		ł		ł
p	p	s	u	u

Znaczenie wyrazów: 1. Ptak drapieżny, 2. Przezwisko Moskala, 3. Formacya geologiczna.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. B., Warszawa.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą imię jednego z królów polskich i jego przydomek:

— ola
— pis
— ola
— rem
— oza
— pek
— zaw
— zyn
— ana
— ola
— gor
— pis
— ema
— ama
— dzi

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, a, d, d, i, i. i, l, r, r, u, u, w, w, z, z.

Trójkąt magiczny.

Ułożył A. Bielecki, Sambor.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego poety:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy, 2. Miejscowość, pamiętna w dziejach ostatniej wojny, 3. Imię męskie, 4 Miejsce kąpielowe w Królestwie polskiem, 5. Wyżyna w Azyi, 6. Miara długości, 7. Przyimek, 8. Samogłoska.

Bilety wizytowe.

Ułożył Turysta.

Z liter na biletach odgadnąć, w którem morzu kąpie się każda z tych osób:

Z. CENAR.

BŁ. TYKA.

DR A. KYTAY.

EW. NEROCZ.

KANTY ALT.

Przysłowiówka.

Ułożył Stefan K., Jordanów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - - - e - - u - - i - o - u - - i, - - - e - - - ię - y - - - o - ie - a.
2) - ie - y - - - o - a, - o - o - o - a.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) „Album Legionów polskich", 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 30.

Zadanie do uzupełnienia: Rota, Apis, toga, ułani, jama, mila, yard, ogród, Jama, cyna, Zola, York, Zona, Numa, Ybbs, Lena, Omar, Soła.

Przysłowiówka: 1) Z wielkiej chmury, mały deszcz, 2) Co głowa to rozum.

Trójkąt magiczny: Do broni! Opatów, brona, rano, oko, ni, i.

Kwadrat magiczny: Zola, Omar, lama, arak.

Okienko: Wisła, Sabat, Artur.

Zagadka literacka: Stara baśń, Anhelli, Potop, Irydyon, Emancypantki, Hugo, Asan.

Zadanie do przestawienia: Koniec dzieło chwali.

Zadanie na rozsypane litery: Lepszy rydz, niż nic.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Sadowska Rozwadów, S. Grabowski Wadowice, A. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, E. Müller Warszawa, H. Frasiński Bochnia, J. Zawadzki Kraków, H. Gruszczyński Tarnow, J. Remer Sambor, Z. Malinowski Poznań, W. Rogalski Przemyśl, B. Wiśniewski Łańcut, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, J. Nowak Drohobycz, M. Hanasiewicz Stanisławow, K. Grabski Jasło, S. Zakrzewski Sandomierz, J. Gross Bochnia, W. Raczyński Krakow, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, A. Lipski Wiedeń, L. Bogucka Warszawa, S Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, M. Lewińska Stanisławów, J. Boczarski Lwow, M. Stanisławski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, T. Nowicki Krakow, A. Ostrowski Lublin, S. Rosenbaum Rzeszow, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwow, J. Tomaszewski Biała, M. Jasińska Lwów, S. Brodziński Kraków, M. Stachowicz Kraków, H. Unger Lwów, M. Waszkiewicz Lwów, M. Kuczynska Kraków, J. Kalinowski Warszawa, Z. Nowak Bochnia, A. Kowalski Kraków, K. Koźmiński Tarnów, A. Dębiński Jasło, M. Ogińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, W. Szczudłowski Jarosław, L. Gartner Rozwadow, M. Sawicka Lwów, S. Zajączkowski Rzeszów, L. Wierzbicki Rozwadów, T. Niemiec Bochnia, L. Berger Lwów, J. Opolski Stanisławów, Z. Lisowski Warszawa, M. Wiśliński Kraków, M. Bilińska Kołomyja, M. Kamiński Zakopane, M. Kozłowski Krakow, K. Fijałkowski Przemyśl, K. Bielski Stanisławów, S. Engländer Kraków, H. Osiowska Warszawa, M. Schwarz Kozłów, A. Wasilewski Radom.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) K. Grabski Jasło (książka), 2) Z. Lisowski Warszawa (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.